Rok I. Kraków, dnia 8. Września 1907 r. Nr. 2.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do p. Bolesława Jankowskiego w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Czy nos dla tabakiery?....

Pisaliśmy w pierwszym numerze, jakie zmiany należałoby przeprowadzić w obowiązujących ustawach, aby naszą dolę poprawić. Wiemy jednak, że najlepsze ustawy nic nie pomogą, jeżeli nie są wykonywane lub jeżeli się je źle i niedbale wykonywa. Wiemy także, że wiele spraw mogłoby i dzisiaj już, nim te żądane przez nas reformy nadejdą, lepiej iść i lepsze wydawać owoce, gdyby dzisiaj obowiązujące ustawy, chociaż niezupełnie i nie wszystkie dla nas korzystne, były należycie wykonywane. Dlatego też z równą siłą i z równym naciskiem, jak owych reform ustawowych, domagać się musimy, aby wszystkie urzędy i władze sumiennie pracowały i ściśle trzymały się obowiązujących ustaw i przepisów.

Mówimy to nie napróżno. Dalecy jesteśmy od obwiniania wszystkich urzędów o niedbałość lub samowolność. Wiemy, że są starostowie wprost wzorowi i ludowi oddani, jak to im ich obowiązek nakazuje. Ale też także wiemy, że wykonywanie władzy u nas, czyli tak zwana administracya, w niejednym powiecie i w niejednym kierunku wymaga poprawy. Powinniśmy też uważać za najpilniejszą potrzebę zbadanie przyczyn tych niedostatków i obmyślenie środków poprawy. Temu to właśnie zadaniu chcemy poświęcić kilka uwag.

Nie będziemy pisać o sądach, a także i o gospodarstwie w gminie później dopiero obszernie pomówimy. Obecnie chcemy zastanowić się pokrótce nad działalnością tak zwanych władz politycznych.

Zakres działania władz politycznych jest bardzo obszerny. Załatwiać one mają nie tylko te wszystkie sprawy, które państwu dają środki do obrony i do spełniania jego zadań, ale i te wszystkie sprawy, które mają na celu podniesienie dobrobytu, zamożności i oświaty ludności. Niektóre z tych spraw wymagają tyle zajęcia, że trzeba było

potworzyć dla nich osobne urzędy. Tak się stało np. z wybieraniem podatków, do czego przeznaczone są dyrekcye skarbu i urzędy podatkowe. Dla reszty spraw przeznaczone są starostwa. Zakres ich działania jest jednak wprost ogromnym. One to wybierają rekruta, przeprowadzają wybory, wykonywują administracyę szkolną, czuwają nad zdrowiem ludności, nad drogami, nad gospodarstwem leśnem, nad sprawami wodnemi, sprawami konkurencyi kościelnej, nad przemysłem itd. itd. Otóż łatwo ocenić, gdy się to ma na oku, dlaczego nie wszystkie te sprawy idą należycie. Każdy, kto był w starostwie, wie, ilu tam jest urzędników, zrozumie też odrazu, że ich jest za mało, aby temu ogromowi zadań podołać. Wprawdzie dla spraw zdrowotnych jest osobny fizyk, dla dróg inżynier, a dla spraw szkolnych inspektor szkolny, ale dla całej reszty spraw jest tylko starosta z dwoma lub trzema urzędnikami, a ci nie mogą się podwoić, aby wszystkiemu podołać. Dzieje się też wskutek tego, że starostwom nie zawsze i nie wszędzie starczy czasu na utrzymanie porządku, ładu i bezpieczeństwa w powiecie, a cóż dopiero na tę działalność, która ma ludności dawać pomoc w mnożeniu jej dobrobytu.

Mamy więc wyrozumienie dla niedostatków stąd płynących. W programie też naszym postawimy i będziemy się z całą siłą domagać, aby liczba starostw była pomnożona, a w każdem starostwie znajdowała się dostateczna liczba urzędników. Będziemy się też domagać i w jednym z najbliższych numerów uzasadnimy potrzebę utworzenia osobnych organów dla czuwania na sprawami rolniczemi. I tak jednak, jak jest dzisiaj, to jest i przy dzisiejszych urządzeniach i siłach, możnaby uniknąć niejednego złego, gdyby w niektórych starostwach zawiał inny duch.

Mamy tu na myśli niewłaściwe traktowanie włościan przez niektórych urzędników. Każdy jest równym w obliczu władzy, każdemu też należy się od władzy jednaki honor i jednaka usłużność. Jeżeli też dowiemy się, że jakiś urzędnik, choćby był bardzo wysoki, pozwala sobie wobec rolnika na ubliżające wyrażenia, jeżeli dowiemy się, że go nie traktuje na równi z innymi obywatelami, to go w naszem piśmie napiętnujemy i wszelkimi środkami starać się będziemy, aby go pouczono, jak z obywatelami ma postępować.

Jest jednak jeszcze inna rzecz, która natychmiast musi ustać, jeżeli ją gdzie praktykują. Zdarza się, że chłop dostanie wezwanie do urzędu na oznaczoną godzinę. Zrobi kilka mil drogi i stawi się w urzędzie, ale tu godzinami całemi czeka, zanim go wezwą przed oblicze urzędnika i załatwią z nim sprawę. I wielka to dla niego wygrana, jeżeli sprawę załatwią. Nie żałuje wtedy, choćby długo czekał. Ale zdarza się, że przeczekawszy w sieni kilka godzin, dowiaduje się, że dzisiaj nic z tego nie będzie, że ma przyjść kiedy indziej, bo na jego sprawę jeszcze nie przyszła kolej.

Jest to nieszanowanie cudzego czasu, a co za tem idzie i cudzego grosza, bo takie marnotrawienie czasu pociąga za sobą utratę zarobku. Tutaj nie mamy żadnego wyrozumienia i usprawiedliwienia na takie postępowanie. Każdy urzędnik powinien tak sobie pracę swoją rozłożyć, aby na darmo ludzi do miasta nie wzywał i na szkody ich nie narażał.

Ilekroć się też dowiemy, że który urzędnik w ten sposób marnuje czas pracujących rolników, to ostro przeciwko temu wystąpimy. A nie braknie nam tutaj potężnej pomocy, bo nie kto inny, tylko namiestnik, Andrzej Potocki, kilkakrotnie w Sejmie powiedział, że wymaga od swoich podwładnych urzędników, aby wszystkich z jednakim szacunkiem traktowali i aby tak sprawami kierowali, by ludzie czasu na marne nie tracili. Powiedział też, że będzie surowo dochodził wszelkich takich nadużyć.

Uwag naszych wcale nie uogólniamy. Dobrym i pilnym urzędnikom oddamy zawsze sprawiedliwość, ale wszełkie uchybienia mamy sobie za pierwszy obowiązek usuwać, a złe naprawiać. Nie może być zaś większego złego, jak wydawać ustawy, a potem ich nie wykonywać.

Na zakończenie na jedno jeszcze nadużycie zwrócić musimy uwagę, na nadużycie polegające na tem, że się przychodzących do urzędnika z interesem rolników, dla szybszego pozbycia się ich, świadomie w błąd wprowadza, na stratę czasu, niepotrzebną pisaninę i koszta naraża.

Jest bowiem u wielu niesumiennych urzędników w zwyczaju, że przychodzącemu z interesem chłopu, choćby się dobrze wiedziało, że żądanie jest niemożliwem, daje się bez wszelkich wyjaśnień jedną zawsze odpowiedź: „wnieście podanie na piśmie, to zobaczymy".

Więc chłop wraca do domu, opłaca się pisarzowi za napisanie podania, kupuje stemple, na to by po pół roku otrzymać odpowiedź, że prośba jego nie może być uwzględnioną, kiedy prosta sumienność i uczciwość nakazywały odrazu mu ustnie powiedzieć, że żądanie jego nie może być z tych lub owych powodów spełnionem.

Przeciwko takim leniwym do gadania z rolnikiem i wyrozumienia jego żądania i bezwzględnym urzędnikom, co tylko na stratę czasu, niepotrzebne koszta i pisaninę ludzi narażają, również z całą stanowczością walczyć będziemy i doniesione nam nadużycia z wymienieniem nazwisk urzędników, napiętnujemy.

Idzie lepsza dola.

Przez ugory, łąki, pola
Idzie do nas lepsza dola,
Z jasną zorzą słonka idzie...
A gdy przyjdzie, koniec biedzie!

Idzie ona wciąż powoli,
Gdzie nie głuszą chwasty roli,
Idzie między takie chaty
Gdzie nie chwasty... sieją kwiaty...

A gdzie przyszła i już gości,
To w tej chacie, to w tej wiosce
Już nie chmurne czoła w trosce,
Lecz z nich bije czar jasności...

W górę serca, w górę czoła,
Tępić chwasty rolne, dzieci!
A na wasze wioski, sioła
Lepsza dola wam zaświeci!

Jantek z Bugaja.

Jaka ma być nowa ustawa łowiecka?

Od p. posła na Sejm Dra Jana Hupki otrzymujemy następujące pismo:

Jako sprawozdawca sejmowej Komisyi administracyjnej w sprawie zmiany ustawy łowieckiej, to jest jako ten, co na podstawie sprawozdania Wydziału krajowego ma wypracować projekt nowej ustawy, i Komisyi, a potem, gdy Komisya się zgodzi Sejmowi do uchwały go przedłożyć, chcę, przed rozpoczęciem sesyi sejmowej jeszcze, o zmianach jakie chciałbym przeprowadzić, szanownych czytelników *Roli* powiadomić.

Obejmując z wyboru Komisyi administracyjnej obowiązki sprawozdawcy w tej sprawie tak ważnej, bo będącej powodem tylu skarg i żalów ludności rolniczej — miałem odrazu silne postanowienie przeprowadzić takie zmiany obecnej ustawy łowieckiej, aby wszelkie niesprawiedliwości i krzywdy jakie rolnicy dotąd z powodu tej ustawy cierpieli, były raz na zawsze uchylone. W razie zaś, gdybym tego co chcę, przeprowadzić nie mógł, postanowiłem zrzec się godności sprawozdawcy.

Komisya jednak w swych dotychczasowych obradach okazywała tę samą co ja dobrą wolę i chęć zmienienia ustawy ku zupełnemu zadowoleniu ludności i załatwiła na szeregu posiedzeń w czasie tegorocznej zimowej sesyi 53 paragrafy nowej ustawy zgodnie z moimi wnioskami, wprowadzając w nich takie tylko zmiany, które mnie na myśl wówczas nie przyszły, a są dla ludności rolniczej niewątpliwie korzystniejsze.

Odroczenie Sejmu nie pozwoliło Komisyi ukończyć prac. Podejmie je jednak na nowo z chwilą zwołania Sejmu na sesyę jesienną, co jak wiadomo niebawem ma nastąpić, i mam nadzieję, że jeszcze w tym roku Sejm nową ustawę łowiecką uchwali.

Dziki.

Chcąc Szanownym Czytelnikom przedstawić, jakie zmiany chciałbym wprowadzić w nowej ustawie, muszę najpierw choć w kilku słowach opisać, co jest głównym powodem niezadowolenia rolników z dotychczas obowiązującej ustawy.

Otóż powodem głównych żalów ludności, jest niemożliwość uzyskania wynagrodzenia szkód przez dziki zrządzonych.

Obecna ustawa w § 47 powiada, że władza może uznać odpowiedzialnymi za te szkody tylko tych uprawnionych do polowania, którym udowodnionem będzie, że dziki na swych obszarach hodują, lub ich całkiem nie tępią. Jasnem jest przeto, że udowodnienie takie jest niesłychanie trudnem i że wyjątkami są wypadki by kogoś rzeczywiście odpowiedzialnym za te szkody uznano.

Naprzykład w roku 1904, na 590 skarg w n i e s i o n y c h d o S t a r o s t w o szkody przez dziki zrządzone, w 60-ciu tylko wypadkach uznano odpowiedzialność uprawnionych do polowania i wszystkie wypłacone z tego tytułu wynagrodzenia w całym kraju wyniosły zaledwie półosma tysiąca koron. Każdy przyznać musi, że ta drobna suma wynagrodzeń jest kroplą w morzu wobec rozmiarów i wartości ogromnych szkód, rzeczywiście przez dziki wyrządzanych.

Bo jak tu komu udowodnić, że dziki hoduje i że ich nie tępi, skoro, jeżeli ktoś hoduje, to nie na co innego, tylko żeby mieć przyjemność zastrzelenia jak największej ich ilości? Może więc z łatwością wykazać, że dziki tępi, bo ich tyle a tyle u niego zastrzelono.

A że tam w tym lub innym lesie wywozi się dla dzików ziemniaki, sadzi się po liniach bulwy, wywozi się żołądź lub padlinę, obmyśla się im i inne wygódki, to czyni się to dlatego, by jak najwięcej dzików zwabić, by je potem na polowaniu wystrzelać, lub też mówi się, że dla tego karmi się dziki w lesie, by nie potrzebowały chodzić na żer na chłopskie pola.

I jak tu w tych warunkach udowodnić, że ktoś dziki hoduje i że ich nie tępi?

A w dodatku, złe i nieszczere postanowienia ustawy, niby przyznają prawo do odszkodowania, ale w ten sposób, by mało kto kiedy mógł należne mu odszkodowanie uzyskać. Postanowienia te utrudniają dobrowolne płacenie wynagrodzeń nawet i tym, co są bardzo czuli na ludzką krzywdę.

Bo weźmy jakikolwiek z życia wzięty przykład:

Obszarnik X. nie ma w swoim lesie stałych dzików, tylko przechodnie, to jest takie, które z wielkich lasów jego sąsiadów Y i Z przekradają się nocami przez jego las, by czynić wyprawy na chłopskie pola.

Pan X. nie ma więc żadnej możności tępienia dzików bo ich u niego nie ma. Sąsiedzi zaś Y i Z mają u siebie stałe dziki, ale z wyjątkiem czasu polowań całkiem ich nie tępią, a wynagrodzeń za szkody odmawiają.

Pan X, widząc szkody zrządzone na gruntach chłopskich pod swoim lasem, chciałby z duszy serca wynagrodzić to chłopom, ale z drugiej strony musi mu przyjść na myśl, że jeżeli by on tylko za szkody płacił, a jego sąsiedzi nie, to płaciłby za nich, płaciłby koszta ich przyjemności, i jeszcze by się tamci z niego śmiali. Pan X. musiałby więc mieć oprócz silnego poczucia sprawiedliwości, także wiele bardzo pokory chrześcijańskiej, by z uszczerbkiem swej powagi i kieszeni za szkody w tych warunkach płacić. Mimo to są u nas w kraju liczni właściciele, którzy mimo wszystko płacą dobrowolnie za takie szkody, w tem jednak przekonaniu że płacą za innych i że to jest dla nich krzywdą.

W każdym razie obecna ustawa bardzo utrudnia dobre postanowienia u tych, którzyby chcieli dobrowolnie szkody za dziki płacić, a nie daje dostatecznej możności przymuszenia tych, którzy dziki hodują, by płacili za szkody przez nie zrządzone.

Sprawa dzików więc jest niewątpliwie w obecnych stosunkach wielką krzywdą ludności, a że polowanie na dziki za żadną choćby najpodrzędniejszą gałąź gospodarstwa nie może być uważanem, bo wartość zastrzelonego dzika jest bardzo małą, a szkody ogromne, więc polowania na dziki nie można inaczej uważać, jak tylko za zabawkę.

Mają co prawda obywatele kraju zupełne prawo żądać, aby i ich godziwe przyjemności, aby i ich zabawki były pod opieką ustaw, i prawodawstwo krajowe jest obowiązane i zabawkę obywateli chronić, ale tylko o tyle o ile zabawka ta nikomu szkody nie przynosi, o ile nie jest połączona z krzywdą niczyją.

A więc takiej zabawki, jak łowy na dziki, nie jest obowiązane ustawodawstwo chronić, lecz przeciwnie, wobec wielkich szkód jakie przez to ludność rolnicza ponosi, jest ustawodawstwo obowiązane obmyśleć i wprowadzić wszelkie, choćby bardzo stanowcze środki, by poszkodowanym nie tylko przez dziki, ale przez wszelką inną zwierzynę, pełne wynagrodzenie szkody bezwarunkowo i bez żadnej zwłoki mogło być przyznane i natychmiast wypłacane.

A jeżeli wskutek takich zarządzeń, niektórzy uprawnieni do polowania na dotkliwe będą narażeni wydatki i jeżeli chcąc się od nich uwolnić, użyją wszelkich środków by dziki jak najprędzej wytępić i jeżeli za jakie lat kilkanaście dzików już u nas całkiem nie będzie, to doprawdy nie będzie czego żałować. Bo wielka chociażby przyjemność polowania na dziki, nie jest wartą tego, by niezadowolenie wśród ludności rolniczej utrzymywać i by tym co ćmieniem i podburzaniem rolników się trudnią, ułatwiać robotę, dostarczając jednei choćby prawdziwej krzywdy do ciągłego wypominania.

Wynagradzanie szkód natychmiast.

Sądzę więc, że jeżeli do nowej ustawy wprowadzi się postanowienia, że szkody zrządzone przez dziki, jelenie, sarny, zające, lisy itd. oraz szkody zrządzone przez polowanie mają być bezwarunkowo wynagradzane, i że oszacowanie i przysądzanie wynagrodzeń załatwiać mają stanowczo i bez odwołania urzędujące na

Dwudziestopięciolecie Kółek Rolniczych we Lwowie.





Poświęcenie kamienia węgielnego pod dom Kółek.



Przyjechali na Zjazd.



Położenie kamienia węgielnego pod dom Kółek.

Dwudziestopięciolecie Kółek rolniczych we Lwowie.



Delegaci Kółek.

Z kraju.



Kurs pisarzy gminnych we Lwowie.

miejscu w gminie sądy rozjemcze, których wyroki mają być natychmiast przez sądy egzekwowane i pieniądze ściągane, jeżeli zatem każdy rolnik będzie mógł wynagrodzenie za szkodę w przeciągu kilku tygodni najdalej otrzymać, to powody do wszelkich słusznych żalów odpadną i ludność rolnicza będzie zadowoloną.

Takie właśnie zmiany chcę wprowadzić do nowej ustawy łowieckiej i jestem przekonany, że i Komisya administracyjna na to się zgodzi, i Sejm takie zmiany uchwali.

Strzelanie psów i kotów.

Chcę również (na co się już Komisya zgodziła) przedłożyć Sejmowi zmianę tych postanowień ustawy, które dozwalały strzelanie wałęsających się samopas psów i kotów.

Przyznać bowiem muszę, że choć bez winy, bo bez wiedzy i woli uprawnionych do polowania, lecz najczęściej z winy gajowych i strażników łowieckich, dzieją się czasem drażniące rolników nadużycia.

Leśny lub strażnik łowiecki, mając przyznane strzałowe za tępienie zwierzyny szkodliwej, ma także najczęściej i od psiego nosa obiecaną nagrodę.

Chcąc powiększyć swe dochody, strzela nieraz psy tam, gdzie ich strzelać nie powinien, t. j. koło drogi publicznej, strzela pieska biegnącego za wozem, za swym panem, bo w ten sposób może bez wielkiego zachodu cały wianek psich nosów sobie nanizać i leśniczemu do wypłaty strzałowego przynieść.

Otóż przeciw takim nadużyciom leśnych, trafiającym się nie z winy uprawnionych do polowania, da nowa ustawa najzupełniejszą ochronę, by słusznych żalów i rozdrażnienia u właścicieli psów na przyszłość uniknąć.

O co idzie?

Na tem skończyłem opis tych zmian, jakie ze względu na słuszne żądania ludności rolniczej mają być do ustawy wprowadzone.

Nowa ustawa zadowolni z pewnością rozumną i pracowitą ludność rolniczą, nie zadowolni jednak tych, którym wady dotychczasowej ustawy służyły do podburzania włościan przeciw szlachcie, bo im już prawdy nic nie zostanie i będą musieli samemi tylko kłamstwami ćmić chłopów; nie zadowolni również kłusowników, t. j. złodziei cudzej zwierzyny, co to wieczorkami lubią przekradać się ze strzelbiną na polowanie. Nie zadowolni też z pewnością tych, co to wnosili do Sejmu petycye z żądaniem takiej ustawy łowieckiej, by każdemu wolno było na swoim gruncie polować i strzelać wszelką zwierzynę, o każdej porze i bez ograniczenia.

Bo też ci, co takie petycye kazali wnosić, to albo rozumu w głowie nie mają, lub też ze złą wolą podsunęli rolnikom włościańskim niemożliwe do spełnienia żądania, by potem módz krzyczeć:

„A widzicie. Wyście chcieli, by wam wszystkim wolno było polować, no, ale wrogi ludu nie chcieli się na to zgodzić“.

„Wszystko strzela“.

Czegoś podobnego ani Sejm nigdy nie uchwali, ani gdyby posłowie tak nieoświeconymi byli i coś podobnego uchwalili, to nigdyby takiej uchwały cesarz nie zatwierdził. Bo uchwała taka nie dała by się bez naruszenia na każdym kroku praw cudzych i cudzego bezpieczeństwa wykonać!

Wobec bowiem wielkiego u nas rozdrobnienia gruntów, złej komasacyi i wadliwych, najczęściej długich a wąskich kształtów parcel gruntowych, niemożliwem by było niejednemu posiadaczowi strzelić do zwierzyny, by strzał na cudze grunta, za dziesiątą nieraz granicę nie przeniósł, a więc naruszenie cudzych praw byłoby nieuniknionem. Przypadkowe postrzelenia i niecenie pożarów przez nieostrożne i nieumiejętne obchodzenie się z bronią, lub przez branie do ręki strzelby w stanie nietrzeźwym, trafiały by się codzień niemal i nikt nie czułby się ani na drodze publicznej, ani na swoim gruncie, lub nawet w swoim domu bezpiecznym.

Przytem, gdyby się zezwoliło każdemu na swoim gruncie polować, to każdy spieszył by się na łeb na szyję, by innych uprzedzić, by przed innymi jak najwięcej zwierzyny wystrzelać, a to doprowadzić by musiało w przeciągu paru lat do zupełnego wytępienia wszelkiej zwierzyny, nawet tak pożytecznych dla rolnika, bo nasionami chwastów żywiących się kuropatw.

A przecie ta zwierzyna, a przecie łowiectwo, może przynosić krajowi pewne rosnące z każdem rokiem dochody.

Dochody gmin z prawa polowania.

Już obecnie daje łowiectwo przeszło dwieście tysięcy koron rocznie gminom za wydzierżawione polowania i ten dochód z każdym rokiem rośnie, daje utrzymanie setkom rodzin strażników łowieckich, daje zarobek licznym rodzinom handlarzy zwierzyny, oraz broni i amunicyi myśliwskiej, wreszcie dostarcza ludności miast naszych smacznego pokarmu mięsnego, zwierzyny, którą by inaczej miasta nasze za drogie pieniądze z zagranicy sprowadzać musiały.

Może więc być łowiectwo przynoszącą dochód gałęzią gospodarstwa krajowego, o ile naturalnie będzie tak urządzone, by nie mogło przynosić ujmy innym, ważniejszym gałęziom gospodarstwa i szkody ludności rolniczej.

A do tego właśnie dążymy, by łowiectwo tak urządzić, by nikomu szkody przynosić nie mogło, tylko pożytek dla wielu.

W Czechach i w Austryi.

Dlatego, przy opracowaniu projektu nowej ustawy łowieckiej, wziąłem sobie za wzór ustawy łowieckie w Czechach i w Austryi, gdzie rolnictwo jest w stanie kwitnącym i dochód z morga dwa razy tyle wynosi co u nas, gdzie wszystkie drogi polne obsadzone są drzewami owocowemi i sadownictwo miliony rocznie przynosi, a gdzie obok tego i bez szkody dla rolnika, jest dziesięć razy więcej zajęcy i kuropatw,

niż u nas, tak, że na każdem polowaniu kilkaset, do 1.000 zajęcy pada.

Łowiectwo jest w tych krajach w stanie kwitnącym, zwierzyny wszędzie obfitość, a mimo to rolnik się nie skarży, ale jest owszem bardzo zadowolony, jeżeli ma szkody od zwierzyny, bo na tem więcej zarabia, niż by mu najlepsze zbiory przyniosły. Dlatego w Czechach więcej się płaci za grunt narażony na uszkodzenie przez zwierzynę, niż za taki, na który zwierzyna mało zachodzi.

Więc ja właśnie dążę do takiej zmiany ustawy łowieckiej, by i u nas było tak, jak jest obecnie w Austryi i w Czechach, by łowiectwo, bez krzywdy niczyjej, przynosiło krajowi i gminom coraz większe dochody, by dostarczało ludziom umysłowo pracującym zdrowego im ruchu i szlachetnej rozrywki i by było tym czynnikiem, za pomocą którego rosnące z każdym rokiem sumy pieniężne, z kieszeni niewielu bogatszych, do kieszeni licznych uboższych ludzi się przenoszą.

Tych kilka słów wyjaśnienia i prawdy napisałem dla tych rolników, którzy prawdy o ustawie łowieckiej dotąd nie słyszeli, bo im fałszywie rzecz całą przedstawiono.

Niwiska, d. 2-go września 1907 r.

Dr Jan Hupka.

Co słychać w Polsce?

Prusak przygotowuje się podobno w dalszym ciągu do wyrzucenia rolników polskich z ziemi! Rząd by chciał z pewnością takie prawo w sejmie na jesień przeprowadzić, ale coś słychać, że nie dobrze mu idzie ze stronnictwami i nie może ich dla swego łajdackiego postępku zjednać. Teraz nawet hakatystyczne gazety piszą, że nie wiadomo co począć z tem wywłaszczeniem, bo to byłoby prawo takie jak miecz obosieczny, co na obie strony kraje. Polaków by poraniło, ale i Prusak, co trzyma za rękojeść, także by swoich nadkrajał.

Wspominaliśmy już; że idzie tu o interes wielkich i małych właścicieli pruskich, ci boją się, że gdyby przyszło wywłaszczanie Polaków z ziemi, to rząd i komisya kolonizacyjna nie potrzebowała by już ziemi od Niemców kupować i majątki ich straciłyby na wartości.

Tak więc jeszcze dalej niewiadomo, co będzie z wywłaszczeniem. Przy tem wiele złego narobił prusakom-hakatystom ich własny wiec, urządzony w mieście Bydgoszczy. Zwołało go stowarzyszenie germanizatorskie, zwane Ostmarkenverein, czyli „Towarzystwo kresów wschodnich“. Powszechnie nazywa się ono H. K. T. a członkowie jego hakatyści, a to od założycieli tego dyabelskiego związku, którzy się nazywali: Hansemann, Kennemann i Tiedemann.

Otóż ten wiec, odbyty w Bydgoszczy, pokazał, że hakatyści to łotry niczem nie nasycone. Oniby chcieli wytępić Polaków ogniem i mieczem, tak jak ich przodkowie, Krzyżacy, niegdyś tępili ludność polską i litewską. Tę swoją drapieżność i zachłanność antypolską objawili tak jasno i tak ordynarnie, że nawet niektórzy ich sprzymierzeńcy trochę się stropili, i teraz piszą, że tak nie postępują ludzie cywilizowani jak ci hakatyści w Bydgoszczy gadali i krzyczeli na Polaków. Zdawałoby się, że niektórzy Niemcy sami zlękli się poprostu takiej dziczy, jak hakatyści i poznali, że tacy ludzie tylko wstyd i hańbę przynoszą narodowi niemieckiemu.

Skorzystały z takiej opinii pisma katolickie, które w Niemczech bronią Polaków i nuże na hakatystów! Zaczęła się ostra walka na dzienniki, ale czuć, że hakatyści nie czują się w dobrej skórze.

Bo i co się mają czuć dobrze, kiedy cały świat o nich dawno mówi, że są jak dzicy ludzie i tylko są zakałą Niemiec. Tak piszą rozumni Anglicy i Francuzi i inne narodowości. W dodatku, teraz chcieliby nowej ustawy przeciw Polakom, a tu jedna z dawniejszych ustaw zaczyna ich przyprawiać o kłopot i kto wie, czy nie wystawi na pośmiewisko i wstyd przed całym światem. Ta dawniejsza a prześladowcza i krzywdząca ustawa, to tak zwana ustawa o osadnictwie. Ale o tem mówimy osobno w następnym artykule.

Mieszkanie na wozie

czyli

świni wolno, Polakowi nie!

Pruska ustawa o osadnictwie, niedawno wydana, powiada, że każdy, kto nabędzie sobie grunt po rozparcelowaniu większego majątku, a chce postawić dom, czy chałupę na mieszkanie, musi dostać osobne pozwolenie od władzy administracyjnej.

Już wtenczas, gdy, taką ustawę na sejmie pruskim wniesiono, podnieśli wielki gwałt posłowie polscy, bo mówili, że to przeciw Polakom zwrócone. Polscy rolnicy dorabiają się pracą pieniędzy, skupują parcelowane grunta, a to Prusakom nie w smak, więc chcą utrudniać osiadanie na roli i przenoszenie się z gospodarstwem z jednego gruntu na drugi. Na to odpowiadali Prusacy obłudnie, że to wcale nie przeciw Polakom ta nowa ustawa, lecz że odnosi się ona przecież do wszystkich mieszkańców. I sejm pruski z całą złą wolą uchwalił to prawo, które w ręku władzy administracyjnej miało się stać narzędziem katowskiem i istotnie się stało.

W gazetach polskich z zaboru pruskiego co kilka dni piszą, że temu czy owemu rolnikowi zakazano pobudować się na kupionym kawałku ziemi. Dla Niemców pozwolenie zawsze jest, dla Polaków niema. Skargi i żale Polaków są daremne, bo administracya ich nawet nie słucha, albo zbywa wykrętami.

Otóż teraz zdarzył się wypadek, który jest wart, aby cały świat się o nim dowiedział. Rolnik polski, nazwiskiem Drzymała, kupił sobie niedaleko Rakoniewic 15 morgów gruntu i pobudował na nim stajnię i stodołę. Na stajnię ani na stodołę pozwolenia nie trzeba, bo świnia może mieszkać swobodnie i wszędzie na obszarze państwa pruskiego, a tak-

samo swobodnie może leżeć snop zboża. Bo świnia nie jest Polakiem, a snop także. Polakowi tylko można zakazać mieszkać na jego gruncie, który krwawą pracą zdobył. Świnie Drzymały mieszkały już sobie wygodnie, a sam Drzymała nie dostał pozwolenia na stawianie chałupy i nie mógł osiedlić się na swojej roli. Biedak prosił, kołatał do policyi, ale prośby na nic się nie zdały. Pozwolenia nie było.

Cóż robi Drzymała, skoro dzięki pruskiemu „prawu“ nie ma gdzie głowy złożyć? Gdzie umieści siebie, żonę i troje dzieci? Gdyby chciał zamieszkać w chlewie, w stajni, czy w stodole, to może także by mu nie pozwolono, bo przecież urzędnikowi pruskiemu idzie właśnie o to, aby nie miał gdzie mieszkać i nie mógł dozorować swego dobytku. W ten sposób, jak myśli Prusak, odstraszy się rolników polskich od nabywania ziemi!

Ale Drzymała ma głowę nie od parady. Nie pozwolili mu domu zbudować, on chałupy nie ma, a przecież na swoim kawałku roli mieszka.

Jak? W bardzo prosty sposób.

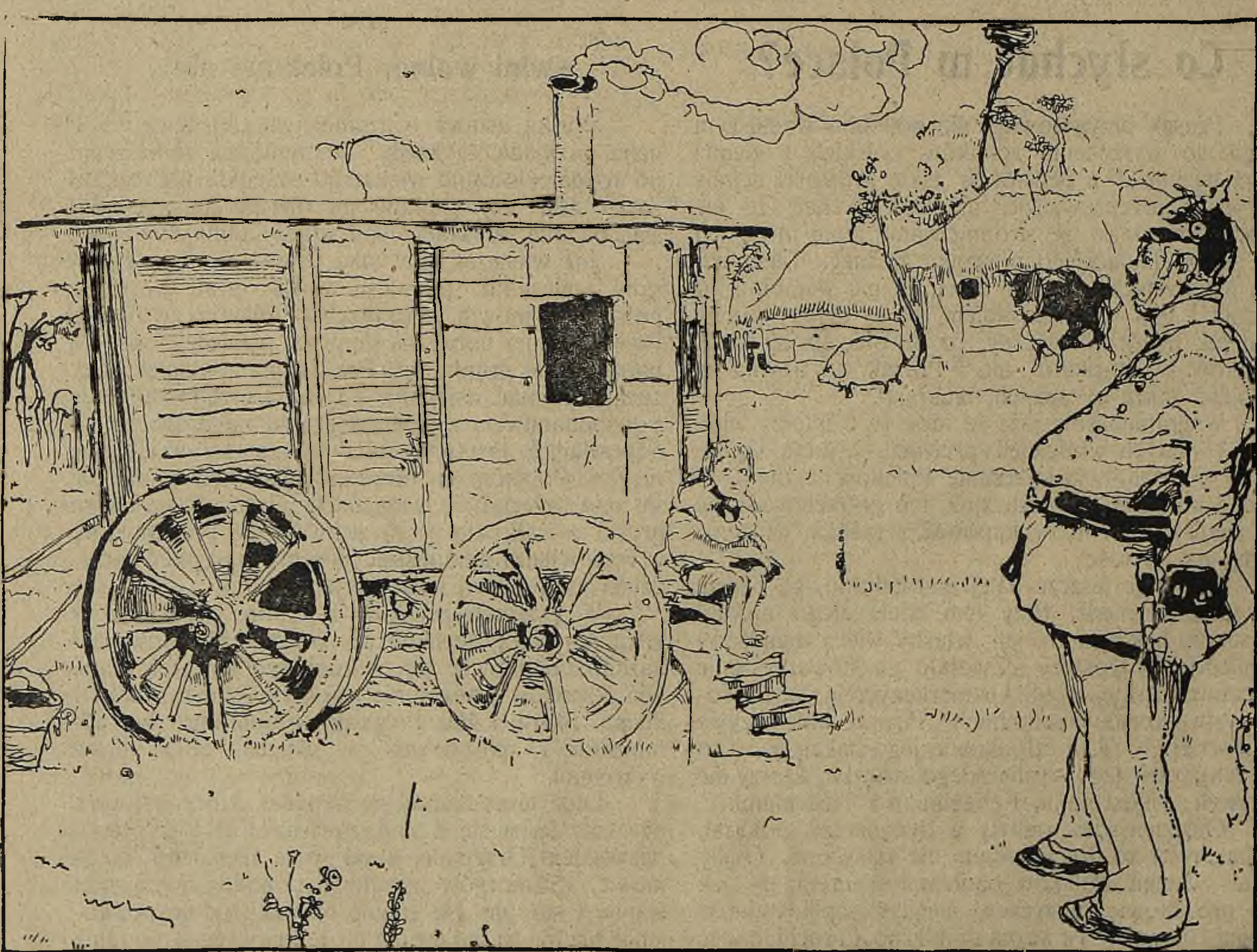
Drzymała kupił sobie od miejscowego karczmarza taki wóz — jaki widzimy na naszym obrazku, wóz podobny do wagonu kolejowego. Nieraz widzi się po jarmarkach i miasteczkach takie wozy, w których mieszkają linoskocy z cyrków, właściciele karuzeli itd. Ciasno tam, bo ciasno, niewygodnie, ale od biedy mieszkać można. Dopóki cyrk daje przedstawienia w jednem miejscu, linoskoki mieszkają na takim wozie. Gdy cyrk przenosi się gdzieindziej, zaprzęgają konie do wozu i cały dom jedzie sobie do innego miasteczka. Otóż taki dom kupił sobie Drzymała.

Kupił go, postawił na swoim gruncie w przepisanej przez prawo odległości 40 metrów od stajni i stodoły. Jeszcze tego samego dnia kazał żonie ugotować tam wieczerzę. Z komina domu poszedł dym. Drzymała zasiadł sobie w oknie i zajadał smacznie, a ludzie zbiegli się i patrzyli na to dziwo. Dom na kołach!

Wkrótce dowiedziała się policya o tym dziwnym domu Drzymały. Oczywiście Prusaków o mało kolka nie sparła ze złości, że polski rolnik tak z nich sobie zakpił. Wysłali nasamprzód żandarma, potem osobną komisyę urzędową, aby zbadała dom Drzymały i natychmiast kazała go usunąć, gdyby się tylko kruczek prawny znalazł.

Ale pokazało się, że rolnik polski sprytniejszy od lada pruskiego urzędniczka. Chcecie se dom oglądać, to oglądajcie — pomyślał Drzymała — mnie ta nic nie zrobicie. I rzeczywiście, oglądali go Prusacy długo, z przodu i z tyłu, nosy przykładali tu i tam, ale nie znaleźli kruczka w żadnym paragrafie, aby Drzymałę z gruntu wyrzucić. Bo i jakiem prawem? Prawo powiada, że nie wolno stawiać domu. Dobrze. Ale wóz to nie dom. Wóz

Mieszkanie na wozie.



Dom Drzymały. (patrz artykuł str. 7).

wolno postawić i na wozie wolno mieszkać, jeżeli tak się komu podoba. Tylko na chałupę trzeba mieć pozwolenie.

— Tak — mówi jeden. — Wóz wolno postawić, ale to przecie nie zwykły wóz, tylko właściwie chałupa, skoro Drzymała tam mieszka.

— Dobrze — odpowiada drugi. — Kiedyś taki mądry, to powiedz: widziałeś kiedy chałupę na kołach?

Naturalnie nie widział. Prawo mówi o domu, nie o wozie, więc komisya odeszła, spuściwszy nos do samej ziemi. Drzymała mieszka sobie dalej, wprawdzie ciasno i niewygodnie, ale przynajmniej pod swoim dachem i przy swoim dobytku.

Tak to rolnik polski zadrwił sobie z szykan pruskich urzędników. Ale krzywda pozostaje krzywdą. Widzi teraz cały świat, że Polakowi nie wolno na własnej roli głowy przytulić, bo mu Prusak zakazuje. Wszędzie, gdzie niecierpią Prusaków, będą mówić długo o domu Drzymały, bo to najlepszy przykład pruskiego ucisku i gwałtu.

Od Administracyi.

***Rola* kosztuje rocznie koron cztery, półrocznie koron dwie. Na czas do końca roku przyjmujemy wyjątkowo prenumeratę od 1 września do 31 grudnia 1907. *Rola* na ten czas kosztuje**

1 koronę 25 halerzy.

Nowoprzystępujący prenumeratorzy dostaną bezpłatnie o ile zapas starczy, pierwsze numery *Roli* z początkiem niesłychanie ciekawej powieści pt. „Nippon Banzaj!“, osnutej na tle wojny rosyjsko-japońskiej.

KRONIKA.

25 rocznicę istnienia Kółek rolniczych w Galicyi obchodzono niedawno we Lwowie zjazdem na IX. Ogólną Radę Kółek. Przybyło przeszło 400 delegatów Kółek rolniczych, przedstawicieli władz itd. Podczas zjazdu odbyło się równocześnie poświęcenie kamienia węgielnego pod własny gmach Zarządu Głównego Kółek. Chwilę tę uroczystą i kilka innych przedstawiają nasze obrazki.

Kurs pisarzy gminnych odbył się niedawno we Lwowie staraniem Wydziału krajowego. Podajemy fotografię uczestników zjazdu.

Kurs pożarniczy. W dniach 20, 21 i 22 sierpnia odbył się w Dzikowie kurs pożarnictwa kosztem powiatu. W nauce wzięło udział 39 delegatów gmin powiatu tarnobrzeskiego. Największy udział w kursie wzięła nowo zorganizowana straż dzikowska, której naczelnikiem jest stary strażak p. Klemens Karakiewicz. Żywy udział w kursie brali: miejscowy naczelnik gminy p. Jan Słomka, tudzież lustrator powiatowy p. Piotr Krasoń. Egzamin wypadł zupełnie zadowalniająco. 36 uczestników otrzymało świadectwa z bardzo dobrym wynikiem, a tylko później przybyłych nie klasyfikowano i nie wydano im świadectw. Kierownikiem kursu był p. Władysław Czeppe, urzędnik Wydziału powiatowego, on też kurs otworzył i wreszcie piękną przemową zakończył; serdecznie pożegnał uczestników sędziwy naczelnik gminy p. Jan Słomka, życząc im wytrwałości w dalszej pracy. Kurs ten prowadzili instruktorowie krajowego Związku ochotniczej straży pożarnej.

Pod kołami pociągu. Z Płaszowa donoszą: Na stacyi kolejowej w Płaszowie dwudziestodwuletni ślusarz kolejowy Jan Stoch, wskoczył na stopień wagonu pociągu towarowego, jadącego do Krakowa, przyczem się potknął i wpadł tak nieszczęśliwie pod jadący wóz, że koło odcięło mu całkowicie lewą nogę. Nieszczęśliwego odwieziono do szpitala św. Łazarza. Mimo znacznego upływu krwi, ranny nie stracił przytomności.

Z Gorlic donoszą: Pociąg, zdążający z Zagórzan do Gorlic, przejechał włościanina Jana Serafina. Serafin zginął na miejscu.

Spirytus się spalił. W magazynie stacyi kolejowej w Wadowicach wybuchł w tych dniach pożar. Spaliła się jedna beczka ze spirytusem. Szkoda wynosi 700 kor. i była ubezpieczona.

Rozdawanie gruntów dworskich obiecywał wyborcom swoim poseł ruski Staruch. U nieoświeconych Rusinów znalazły takie brednie wiarę i wyborcy cieszyli się z góry, że będą mieli za darmo ładne kawałki ziemi. Poseł Staruch musiał widocznie obiecywać nie na żarty, skoro pisma lwowskie donoszą, że poczciwi wyborcy wzięli sobie jego gadanie bardzo do serca i czekali z dnia na dzień, kiedy to już zaczną grunta rozdawać.

Minęły letnie miesiące, poseł Staruch wrócił z Wiednia z niczem, tak jak inni posłowie ruscy, którzy zamiast co zrobić dla wyborców, śpiewali sobie w parlamencie ładne kołomyjki, a śpiewali tak ochryple i fałszywie, że aż się pisma niemieckie temu dziwowały. Poseł nie przywiózł nic, ale wyborcy dobrze pamiętali o obietnicach wywłaszczenia dworskich gruntów; przecież gdy Staruch był w Wiedniu, oni już sobie poobchodzili nawet i dworskie zagony i każdy wybrał sobie co chciał. Nawet — nie do uwierzenia! — prosili geometrę, p. Zadoreckiego, aby przyjechał prędko robić pomiary, bo rozdanie gruntów już tuż tuż...

Biedni Rusini nie myśleli, że są poprostu wystrychnięci na dudków i że nie powinni byli nawet słuchać takich głupstw. Czekali i czekali, aż nakoniec zjawił się pan poseł. Prawił im na sejmikach relacyjnych długo i szeroko, ale o rozdaniu gruntów ani mru mru. Nakoniec zniecierpliwieni wyborcy sami ośmielili się zapytać pana posła: co też słychać z tem bezpłatnem rozdaniem gruntów? Przecież muszą wiedzieć, czy sprowadzić geometrę, aby im grunta rozmierzył?

Czy myślicie, że poseł Staruch przyznał się, że dawał chłopom fałszywe obietnice? Gdzie tam. Wynalazł sobie lepszy sposób! Oświadczył, że na taką rzecz nie wystarczy jedna kadencya Rady państwa. Jeżeli go będą zawsze wybierali, to on już przeprowadzi to, co obiecał!

Poseł Staruch jest mądry, to każdy przyzna. Ale jacy są ci wyborcy, co wierzą takim bajdom? Osądźcie sami, czytelnicy *Roli*!

Pożar mostu na Sanie. Z Niska donoszą: Z niezbadanej dotąd przyczyny, około północy z dnia 29 na 30 sierpnia powstał pożar na moście na Sanie pod Zarzeczem, który z niebywałą szybkością zniszczył doszczętnie całą środkową część mostu ponad korytem rzeki. Pozostały tylko przybrzeżne części mostu przedpowo-

dziowe. Niedopalone zgliszcza leżą w korycie Sanu. Przy pożarze zjawiły się ochotnicze straże pożarne gminy i obszaru dworskiego w Nisku. Przyczyny powstania pożaru nie udało się dotychczas żandarmeryi zbadać. Nie jest wykluczone, że pożar mógł powstać wskutek nieostrożności robotników, zajętych naprawą mostu, który od kilkunastu dni dla komunikacyi był zamknięty — jednak niezwykła chyżość, z jaką pożar objął cały most oraz miejsce, w którem ogień na moście wybuchł, wywołuje ogólnie podejrzenie, że pożar wzniecony został zbrodniczą ręką. Na miejsce wyjechał delegowany przez prezydyum namiestnictwa radca budownictwa p. Pichl.

W tej samej sprawie otrzymujemy taki list:

Rudnik nad Sanem. Onegdaj spłonął most w Zarzeczu, zbudowany kosztem 940.000 tysięcy guldenów, chociaż tamtędy nikt nie jeździł. My chcemy, by teraz rzucili nam most z Rudnika do Klonowa. Bardzo prosimy poradzić nam, jak się mamy wziąć do tego by nam kraj ten most postawił? *Marcin Cudyło.*

Trzeba wnieść do Wydziału krajowego stosowną petycyę i to jak najprędzej. Ale w tej samej sprawie piszą nam jeszcze inne ciekawe rzeczy. Oto otrzymujemy kartkę, na której napisane, że ten most został postawiony w tem miejscu wskutek „zmowy panów“. Może też kto nam napisze, co rzecz zna, jak to było z tym mostem? — Bo *Gazeta Lwowska* pisze, że był to most „strategiczny“, więc służący celom wojskowym a w takim razie wojskowość żądała umieszczenia go w tem miejscu. Jeżeli to porównamy z ową „zmową panów“ to budzi się podejrzenie, że ktoś może wyzyskał dobrą wiarę rolników-włościan, aby siać niezgodę. Nie mówimy na razie czy ten ktoś ma słuszność czy jej nie ma, bo trudno znać historyę wszystkich mostów w kraju. Chcemy tylko dociec prawdy, i dlatego prosimy wszystkich rolników, wielkich i małych, którzy tę sprawę znają, aby ją nam opisali.

Zleciał z drugiego piętra. W Krakowie zdarzył się straszny wypadek. Do domu przy ul. Stachowskiego l. 22. zawezwano czeladnika malarskiego, 22-letniego Bernarda Rosenblatta, dla odnowienia mieszkania na drugiem piętrze. Malarz miał odmalować okna. Chcąc wydobyć jedno ze skrzydeł z zawias, oparł nogę na gzymsie, biegnącem tuż pod oknem, a nie przymocował się sznurem. Nagle gzyms, źle zbudowany i ledwie wiszący w powietrzu, rozleciał się pod jego ciężarem w kawałki, a malarz, straciwszy równowagę, wraz z wydobytem oknem w rękach runął z ogromną siłą na bruk uliczny, uderzając czaszką o kamienne płyty chodnika. Przechodnie uderzeni głuchem echem ciężkiego upadku i dźwiękiem rozlatujących się w kawałki szyb, przybiegli nieszczęśliwemu na pomoc, ale nieszczęśliwy umarł w kilka minut, brocząc wokół krwią, ciekącą obficie z załamanej straszliwie czaszki i buchającą ustami z powodu wewnętrznego krwotoku. Zawezwane natychmiast Pogotowie ratunkowe zastało już zimnego trupa.

Pałką podziękowali rozagitowani chłopi ruscy „ukraińskim“ posłom E. Lewickiemu i dr. L. Baczyńskiemu. Jak donosi *Hałyczanin*, pismo staroruskie czyli moskalofilskie, odbył się w Haliczu wiec chłopski, na który miało przybyć 10.000 ludzi. Mniejsza czy cyfra prawdziwa, bo wiadomo, że gdy idzie o wiec, to tym co urządzają, często troi się w oczach. Dość, że był wiec i że przyszło wielu ludzi ze Stanisławowa, Halicza i Rohatyna, z posłem staroruskim Hlibowickim na czele.

Gdy zobaczono „ukraińców“ posłów, rzuaono się na nich, tak, że ledwie ich wybroniła żandarmerya. Ale i bagnety nie pomogły ostatecznie, bo jak pisze *Hałyczanin*, staroruscy chłopi rzucili się na posłów, strącili ich „na łeb“ z góry zamkowej, gdzie wiec się odbywał i obu strasznie złomotali kijami. Naturalnie pobici zaprzeczają temu w innych dziennikach. Nie idzie im tyle zapewne o siniaki, co o wstyd. Bo wstydem wielkim jest to przedewszystkiem, że sprawdzają się przepowiednie uczciwych dzienników, które ostrzegają zawsze przed sianiem nienawiści i przypominają, że „kto wiatr sieje, burzę zbiera“, a „kto mieczem wojuje od miecza ginie“.

Uczciwa prasa zawsze powtarza, że kto nieuczciwie agituje, ten za lada potknięciem się sam dostanie te kije, które innym przygotowywał. Trzeba dodać, że ukraińcy podczas wyborów walczyli najdzikszemi sposobami. Przecież wszyscy pamiętają, jak na jednem zgromadzeniu zaczęli starorusinów oblewać gnojówką, a byli tam między oblewanymi i księża ruscy! Innym razem znowu obalonemu mówcy wiecowemu zapchano usta kałem bydlęcym, a potem go jeszcze okrutnie zbito! Teraz sami Ukraińcy mieli sposobność zakosztować jak smakują kije, a zapamiętać sobie powinni to różni „politycy“, nietylko ruscy, że nieuczciwa polityka zawsze w końcu się pomści. Oczywiście zaś nie trzeba zapewniać, że z takiej polityki wyborcy nie mają chyba żadnej korzyści, prócz tej chyba, że każdy im coraz mocniej musi w łbie zawracać, aby drugiego przelicytować.

Straszna śmierć trojga dziewcząt. W Zimnej Wodzie pod Lwowem trzy dziewczęta, służące, udały się na staw i wsiadły do łódki. Łódka była dziurawa, gromadziło się w niej coraz więcej wody, wreszcie czółno powoli zaczęło tonąć, śmiałe jednak dziewczyny nie dały się odstraszyć i czerpały wodę rękami, wlewając ją do stawu, sądząc, że uda im się w ten sposób przeprowadzić łódkę przez cały staw. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk. Łódka, w której były służące, przewróciła się, pokrywając swoim ciężarem wszystkie trzy dziewczyny. Wśród wielkiego zamieszania nikt się nie znalazł, ktoby tonącym pospieszył z pomocą. Z tonących jedna tylko umiała pływać i dobijała już prawie do brzegu, lecz tuż przed wydostaniem się na ląd opuściły ją siły i w oczach zebranych na brzegu wpadła w głębię. Dwie inne służące, wśród rozpaczliwych wysiłków, wołały wprawdzie długi czas o ratunek, w końcu jednak i one zamilkły. Dopiero po pół godzinie przyprowadzono ze stacyi trzech pływaków, było to jednak za późno. Trupy wyciągnięto dopiero po zupełnem spuszczeniu stawu.

Zabity przez piorun. Z Rawy ruskiej donoszą: W czasie burzy uderzył piorun w Wierzbicy w stodołę gospodarza gruntowego Matwija Stecha i zabił Michała Ochrina, włościanina, który schronił się przed burzą pod dach stodoły.

Zemsta lasowego. Z Czortkowa piszą: W niedzielę dnia 25 sierpnia o godz. 3 popołudniu pozbawił życia dozorca lasu hr. Lanckorońskiego, Marcin, gajowego Samborskiego, ojca 4-ga dzieci, wystrzałem karabinowym w lasku obok Rosochacza (Jagielnica). Powodem miała być zemsta. Oddawna Samborski ubiegał się o posadę dozorcy lasu u hr. Lanckorońskiego i dlatego też ciągle, o ile tylko sposobność mu się nadarzyła, przed kim bądź Marcina oczerniał. Odgrażał się nawet kilka razy, że Marcina sprzątnie. Tymczasem gdy przechodził w niedzielę obok budki Samborskiego, a ten go jakiemiś słowy a następnie czynnie znieważył, Marcin nie namyślając się, nabity karabin wymierzył i trupem go położył. Marcin jest również żonatym i ma dwoje dzieci. Sprawcę żandarmerya odstawiła do aresztów więziennych w Czortkowie.

Straszne zdarzenie. Z Trembowli donoszą: Przy tutejszym inspektoracie podatkowym zajęty był jako pomocnik kancelaryjny, niejaki Benedykt Przyszlakiewicz, człowiek liczący lat 60. Życie pędził samotne, był napozór spokojnym, faktycznie jednak był bardzo zdenerwowany. W marcu b. r. ożenił się, a dom dla niego, zwłaszcza zaś dla żony, stał się prawdziwem piekłem. Doprowadzał do bezustannych kłótni i szarpał dalej swe nerwy w tym ogniu. We wtorek przed południem poprosił w biurze przełożonego o urlop. Widziano jego zdenerwowanie i chętnie udzielono mu urlopu, zwłaszcza, że był sumiennym i pracowitym. Przyszlakiewicz udał się do domu i o jakąś drobnostkę wszczął kłótnię z swoją żoną, w czasie, której porwał za rewolwer i strzelił. Widząc żonę padającą i sądząc, że pozbawił ją życia, skierował następnie lufę rewolweru ku sobie, strzelił i padł trupem na miejscu. Strzał, skierowany ku żonie, nie był śmiertelny, przebił tylko szczękę kobiecie. Nieszczęśliwą przewieziono natychmiast do kliniki we Lwowie.

Nowa kolej lokalna. Ministerstwo kolei żelaznych udzieliło Mieczysławowi Mniszkowi w Wiedniu i właścicielowi dóbr Floryanowi Kozłowskiemu w Lipie, na czas jednego roku, pozwolenia na prowadzenie technicznych robót wstępnych dla normalnotorowej kolei lokalnej. Kolej ta wychodząc z przyszłej stacyi w Krasiczynie, projektowanej kolei lokalnej Przemyśl-Bircza-Sanok, ma iść przez Dubiecko i Dynów do stacyi Ułucz tejże samej projektowanej kolei lokalnej.

Zarobił na furmance. W tych dniach odbywał się w Hodowicy koło Lwowa odpust, który zgromadził parę tysięcy ludzi. Na odpust przyjechali także „goście ze Lwowa“. Wracając, wynajęli od jednego z włościan furę, godząc się po 50 hal. od osoby. Było tego 8 sztuk, „panowie“ i „damy“. Koło rogatki gródeckiej pasażerowie wysiedli z wozu i poszli „mieniać pieniądze“. Zaniepokojony włościanin udał się za nimi i zobaczył, jak „państwo“ umykają chyłkiem, nie zapłaciwszy włościaninowi ani grosza. Włościanin puścił się w pogoń! Gdy dopędził gości — i zażądał zapłaty, „państwo“ nietylko go wyśmiali, ale zagrozili kamieniami, gdyby dalej chciał podtrzymywać swe pretensye. Wobec ich liczebnej przewagi i lepszego uzbrojenia, włościanin musiał wrócić do domu z niczem, straciwszy kilka godzin czasu i umęczywszy za darmo konie.

Żebrak rabusiem. Z Nowego Targu piszą: Niedawno przybył tu o godzinie 7 wieczorem do mieszkania p. Ludwiki Kurek, żony nauczyciela, jakiś żebrak z prośbą o jałmużnę. Pani K., będąc sama i pragnąc jak najprędzej pozbyć się natręta, dała mu 10 halerzy i kromkę chleba. Żebrak nie zadowolił się otrzymanym datkiem i zażądał więcej pieniędzy. Gdy pani Kurek żądaniu jego odmówiła, rzucił się na nią i począł ją niemiłosiernie bić. Napadnięta kobieta broniąc się rozpaczliwie, zadała opryszkowi gwoździem ranę na twarzy. Obrona jednak nie długo trwała, gdyż wkrótce pod uderzeniami żebraka runęła biedna kobieta bez przytomności na ziemię. W czasie jej omdlenia rozbił żebrak kufer i zabrał z niego 2 złote obrączki ślubne, pieniędzy około 100 koron i umknął. Za zbiegłym wdrożono energiczne śledztwo i rozpisano listy gończe. Jest to mężczyzna wysoki, silnie zbudowany, z czarnym zarostem.

Zbeszczeszczenie grobów. Z Dąbrowicy na Wołyniu donoszą do *Dziennika Kijowskiego* o profanacyi grobów hr. Platerów. Podczas pożaru w Dąbrowicy wyważono ławami drzwi na cmentarzu w kaplicy grobowej familijnej hr. Platerów i porozbijano trumny. Nikczemni zbrodniarze szukając zapewne kosztowności, rozbili dwa sarkofagi ś. p. hrabiny Konstancyi z hr. Platerów hr. Manuzzi, pochowanej przed 33 laty i śp. hr. Ignacego Platera, pochowanego przed 52 laty. Sarkofag metalowy hr. Manuzzi i dwie trumny, drewniana i metalowa złamane kompletnie, a prochy z czaszką i piszczelami rozsypane po posadzce; widać, że prochy, w poszukiwaniu klejnotów, były przesiane przez ręce. Sarkofag hr. Platera również uszkodzony. W drugiej trumnie metalowej wyłamano dwa otwory, przez które przeszukano wewnątrz kosztowności, o czem świadczy złożona na trumnie część rękawa od ubrania. W trumnach kosztowności nie było. Złoczyńcy zabrali tylko trochę bronzów od trumien, jak: blachy z napisami, antaby i t. d., oraz jedną literę bronzową pozłacaną z sarkofagu ś. p. hr. Idalii z Sobańskich Platerowej. Oprócz tego wyłamali jedną z dość ciężkich metalowych tablic ze ściany kaplicy, pod którą pochowany jest ś. p. hr. Antoni Plater.

Od Redakcyi.

Braci rolników prosimy o nadsyłanie listów, które chętnie umieszczamy, jeżeli odnoszą się do spraw obchodzących ogół rolniczy. Listy muszą być wyraźnie podpisywane imieniem i nazwiskiem. Niepodpisanych przysyłać nie trzeba, bo bezwarunkowo nie będą umieszczane.

Amatorów fotografów prosimy, aby przysyłali nam zdjęcia, które będą w „Roli“ umieszczane i honorowane według umowy. Pożądany krótki tekst z opisem, co przedstawia fotografia. Najchętniej przyjmujemy wszystko, co się odnosi do rolnictwa i życia rolników.

NIPPON BANZAJ!*)

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ.

2) (Ciąg dalszy).

U bramy czekali lekarze, siostry miłosierdzia, posługacze z noszami.

Na stercie materyału budowlanego na środku ulicy siedziało kilku rekonwalescentów. Jeden z głową obandażowaną tak, że widać mu było tylko koniec nosa i kąt oka, zadzierał głowę, usiłując koniecznie tym kątem widzieć. Inny, zdrową lewą ręką, kołysał jak dziecinę i pieczołowicie tulił do łona prawą, od kiści aż po ramię obłożoną gipsem. Jeszcze inny, melancholijnie spoglądał na pustą od kolana lewą nogawkę spodni, na nic poza tem nie zwracając uwagi.

Jednocześnie z drugiej bramy na jednokonną platformę ładowano dwie czarne trumny.

Trębacz pułkowy przygrywał na znaną nutę:

„Był sołdat, żył sołdat,
Dobry był, wódkę pił...“

*) „Niech żyje Japonia!“

Poległych chowano z honorami wojskowymi...

Tyszka z Okopowiczem jednocześnie popatrzyli sobie w oczy i jednocześnie westchnęli.

To wojna!

Jenerał Kuropatkin.

Naczelny wódz armii rosyjskiej siedział pochylony nad stolikiem w wagonie-gabinecie swego błyskawicznego pociągu i dumał.

Na stoliku była rozpięta drobiazgowa mapa Mandżuryi z Koreą i Japonią, ale nie patrzał na nią. Znał tę mapę na pamięć.

Wzrok jego utkwiony był uparcie w kąt wagonu, gdzie przysłonięta czarnem suknem stała trumna.

Stary wódz ściągał brew i z bólem przycinał zębem usta.

Oto nie tak dawno jeszcze! Wszak to on sam wyrzekł ze szczytów Portu Artura te znamienne słowa: — Gotowiśmy! — On sam, minister wojny, on — mający pretensyę do spadku duchowego po jenerale Skobielewie!

I oto nie minął rok, a całe to pogotowie okazało się we właściwem, jaskrawem świetle. Dziurawe okręty, działa bez pocisków, armia bez butów. On, minister wojny, nie wiedział o tem.

A potem jeszcze! Pożegnalne mowy, pożegnalne szampany, błogosławieństwa cudownych popów, uroczyste spotkania i pożegnania, pocałunek carski na czole, cały ten dym kadzielny, zdolny najzdrowszą głowę o zawrót przyprawić. Wszystkie oczy, oczy całej Rosyi i świata całego, były na niego zwrócone, imię jego było na wszystkich ustach.

Wówczas to, w odurzeniu tego dymu, obstalował tę trumnę i jednocześnie nabył sławnego białego konia.

Trumna miała znaczyć, że on — Kuropatkin — wogóle dwa tylko dopuszcza wypadki: zwycięstwo lub śmierć.

A biały koń! Obecnie usiłował o tem nie pamiętać. A jednak była, była chwila, kiedy pozwolił rozmarzyć się swojej starej głowie. I wówczas widział siebie, jak to on na tym białym koniu przelatuje jak błyskawica wzdłuż zwycięskich szeregów, entuzyazm rozpala serca, — Hurra! — rozlega się grzmotem po całem polu, a on leci, leci „i kula go się nie ima...“

Twarda rzeczywistość pokierowała inaczej.

Biały koń zdechł po drodze, zamiast entuzyazmu — bosa, oberwana, głodna armia, zamiast pola chwały — ustawiczne „cofanie się w porządku“. A pierwszy wawrzyn, jaki zdołał uszczknąć na tem wymarzonem polu chwały, to było uderzenie szablą w twarz, otrzymane od wielkiego księcia Borysa, za to, że mu czynił wyrzuty, iż na wojnę przyciągnął z całem stadem kochanek.

Zamiast laurowego wieńca, pozostała na twarzy krwawa szrama.

Na to wspomnienie w kątach ust ukazała mu się piana.

Trumna także pozostała.

I patrzał na nią teraz niemal z nienawiścią.

— Co masz oznaczać, ty, drewno głupie. Czy może na mój koniec zęby wyszczerzasz? Ha!... Na to wszak żołnierzem jestem i w każdej chwili... w każdej chwili... A może wraz ze mną upadnie armia? Złamie się Rosya?...

Przez chwilę siedział złamany, z obwisłą dolną wargą, ze skamieniałą źrenicą. Trup!

Serce rzetelnego Rosyanina, serce starego szlachcica-patryoty, skowyczało w nim, jak pies na stryczek pojmany.

I nagle wyprostował się hardo pod przypływem wewnętrznej mocy.

— Nie! — poderwał się z nagłą energią ze swego miejsca. — Ustąpić chwilowo przed liczebną przewagą, to jeszcze nie znaczy dać się sromotnie pobić. I rzeka zatrzymana w biegu, cofa się niekiedy do swego pra-źródła, by za moment uderzyć ze zdwojoną mocą i na miazgę zetrzeć zaporę. A więc czekać jeszcze, czekać tylko i mocy nabierać. Hej!

Klasnął w dłonie na służbę.

— Wyrzucić to drewno! — wskazał na trumnę.

Stary ordynans, towarzysz z wojny tureckiej, spojrzał z zabobonnem przerażeniem.

Kuropatkin roześmiał się prawie swobodnie.

— Ej, Wańka, Wańka, i czegóż patrzysz, stary? Wszak ojczyzna w niebezpieczeństwie! I któż ją będzie bronił, gdyby nas starych nie stało? A więc nie o śmierci myśleć, ale żyć, żyć potrzeba — i precz ze wszystkiem, co serce przygniata! Czy jest tam kto?

— Czeka adjutant.

— Dawaj go tu!

Za chwilę wszedł sprężystym krokiem młody oficer sztabowy i szczęknąwszy ostrogami, zatrzymał się w służbowej postawie.

Kuropatkin spojrzał pytająco.

— No?

Oficer roztworzył skórzaną teczkę.

— Najświeższe depesze z pola walki. Baron Keller cofnął się z pozycyj wczoraj zajmowanych.

— Doskonale!

Adjutant podejrzliwie rzucił powiekami.

— Baron Rennenkampf gnie się pod naporem przewagi nieprzyjacielskiej.

— I także ustępuje? — zapytał żywo.

Oficer na mgnienie oka zatrzymał się.

— Ustępuje! — odrzekł nieco niepewnym głosem.

— Wybornie, wyśmienicie! A Miszczenko?

— Dzisiaj rano starł się z nieprzyjacielską kawaleryą pod Czarną Górą.

— I przypuszczam, że także ustępuje?

Adjutantowi odpowiedź uwięzła naraz z niewiadomej przyczyny w gardle. Skinął potakująco głową.

Kuropatkin zatarł ręce, aż palce chrupnęły — i żwawym krokiem przemierzył parę razy długość wagonu.

— Świetnie, niezrównanie. Wszystko jak z płatka. No, a więcej na razie nic? Kondrateńko, Leniewicz?

— Nic — odparł zwolna. — Stamtąd nic. Ale jest jeszcze jedna wiadomość — z Liaojangu. Ta uwięziona za szpiegostwo Francuzka... ze świty jego imperatorskiej wysokości, księcia Borysa...

Kuropatkin podbiegł do niego żywo.

— No?!

— Zbiegła.

Stary wódz cofnął się, prawie padł wtył.

— Jak? — krzyknął wreszcie. — A straż, a porucznik Michajłow, który miał ją przecie dzień i noc

strzedz, jak źrenicy oka? Jeden z najlepszych moich ludzi?!

— Już aresztowany!

— Tu go dać, tu natychmiast! — porwał się z zaciśniętemi pięściami.

I raptem zachłysnął się i ciężko jak kamień usiadł, padł raczej na krzesło.

Adjutant wybiegł do przedpokoju, za chwilę był z powrotem i stał wyciągnięty, z opuszczonemi powiekami.

Spojrzał na niego z pod oka raz i drugi.

— A deszczu nie widać? — zapytał raptem.

Oficer spojrzał niemal z przerażeniem. W odpowiedzi wskazał ręką ku oknu.

— Co?

— Chmurzyło się z rana — wykrztusił.

W tej chwili jakby na zamówienie w szybę plusnęło parę grubych kropli. Za moment już widnokrąg przysłonił się szarą zasłoną, splecioną z nieprzerwanych, drgających sznurów deszczowych. Już lało.

Kuropatkin zaklaskał w dłonie i podbiegł do okna.

— Leje, naprawdę leje?! O Boże wielki dzięki Ci!

Odwrócił się do kąta z ikoną i trzy razy szerokim ruchem przeżegnał pierś.

W tejże chwili roześmiał się. Przypomniał sobie zgnębioną, niepewną minę swego adjutanta.

Położył mu rękę na ramieniu.

— Młody człowieku, wiem, że jesteś jednym z moich najlepszych. Nie dziw-że się mojej radości. Wiesz, jak nam ciężko. Nie sztuka, że dotąd musieliśmy ustępować, gdy dotąd było nas o połowę mniej, gdy nadto na własnych tyłach zdarzały się takie wypadki, jak z tą Francuzką.

Na moment znów sposępniał przypomnieniem. Zaraz się jednak otrząsnął.

— Teraz się szanse wyrównają. Deszcz, to znaczy zawieszenie na miesiąc wszelkich operacyj wojennych, to znaczy czas na wymiecenie wszelkiego świństwa z własnego domu, i czas na powiększenie w dwójnasób armii. A potem, potem — aż do morza, aż do Tokio! Ten deszcz, to jest wyraźna opatrzność Boża nad nami, w nim jest cała nasza taktyka i cała strategia. I dlatego, raz jeszcze dzięki Ci, o Boże! Dzięki, i... he, he!

Zatarł z uśmiechem ręce:

— I obiadek dla wszystkich panów *attachés* wojskowych. Niech się niemieckim kanaliom przeciągają miny na widok naszego dobrego humoru.

W tej chwili w przedpokoju rozległ się nagle wystrzał rewolwerowy.

Obaj jednocześnie skoczyli ku drzwiom.

Na podłodze, pośród zmieszanej gromady oficerów sztabowych leżał młody oficer. Z rozwalonego czerepa wylewała mu się szeroką strugą krew z białemi krupami mózgu. Przeżuwał jeszcze kurczowo szczękami, robił piersią, nogi ściągały mu się i rozprężały powolnymi ruchami, jak przydeptane glisty.

Nad nim klęczało dwóch żandarmów polowych.

— Michajłow?!.. — wykrzyknął Kuropatkin.

Obaj żandarmi, sini z przerażenia, wyciągnęli się jak struna.

— Wyrwał rewolwer — bąknął jeden — i zaraz sobie... Ani mgnienie oka...

Kuropatkin na moment zatrzymał wzrok na trupie, ponuro spojrzał po obecnych, i wolnym, ociężałym krokiem zawrócił do gabinetu.

W bitwie.

Jędrek Mróz, chłop z Królestwa, z towarzyszami poszedł na zapchanie luk silnie wykruszonego korpusu barona Kellera.

Wraz ze swym batalionem został odkomenderowany jako przednia straż prawego skrzydła, w pobliżu którego nieprzyjaciel już od paru dni wykonywał jakieś niepokojące, a niezrozumiałe obroty.

Batalion rozsypany w tyraliery leżał za grzebieniem wzgórza, z po za którego domniemywano się lada chwila ataku.

Jędrek odrazu poczuł na swem ramieniu cały ciężar wojennej szlei.

Najprzód od stacyi kolejowej gnano ich przez całą noc bez wytchnienia naprzełaj po rozmaitych dziurach, po grzebieniach skał, na których do krwi rozbił sobie kolano i podrapał ręce, i po stromych wąwozach, z których zaraz w pierwszym zwalił się, idąc po omacku, na łeb, złamał przy tej sposobności bagnet i zgubił przytroczoną do tornistra miseczkę.

Potem nastąpił krótki wypoczynek, zakropiony wprawdzie krótkim, ale zato nawalnym deszczem.

Potem znów dalej!

Szli długim wąwozem, podobnym do koryta dawniejszej rzeki, po rozmiękłej, lgnącej do nóg jak smoła glinie. Podeszwa jednego buta odciapała mu się i garnęła błoto jak łyżka. Oderżnął ją i stąpal dalej bosą podeszwą, choć niby w bucie.

W pewnej chwili wpakował się po pas w jamę, wypełnioną cuchnącą gęstawą rudawą, z pływającemi po wierzchu tłustemi plamami. Przy tej sposobności zaczerpnął nieco błota i cholewą drugiego buta i z tego zrobiła mu się wkrótce rozpalona smoła, która nieznośnie ucierała i odparzała nogę.

A słoneczko sypało z nieba rozpalone żużle. Po świeżym deszczu ziemia buchała kłębami ciężkiej, dusznej pary, z żołnierzy kurzyło się jak z fabrycznych kominów. Zmoczone ubrania wysychały i jednocześnie przysychały do ciała; każdy szew, każda niteczka wpijała się i przywierała do rozdrażnionej skóry, jak włosień do świeżej rany.

Jędrkowi wydawało się, że rzemienie tornistra przejadły mu się przez kości ramion do samych pach.

Niebo otwarło mu się przed oczami, gdy wreszcie rozkazano ledz i przywarować do ziemi.

I wtedy dopiero po raz pierwszy od chwili wymarszu przyszła mu myśl i ochota przypatrzeć się swoim najbliższym sąsiadom z prawej i lewej strony, z którymi podczas drogi nieraz zetknął się łokciami.

Spojrzał w lewo — jakaś obrośnięta, świecąca potem morda z kosemi oczami. W prawo — i naraz mimo całego zmęczenia poderwał się wpół ciała.

Nie, czy być może!

— Stach! — wykrzyknął. — Waligóra!

Okrzyknięty powolnym, apatycznym ruchem zwrócił głowę.

Tak, nie było wątpliwości. To był Stach Waligóra, żołnierz z tego samego powiatu, z którym jednocześnie losy ciągnął, ale jakże zmieniony, wychudzony, czarny, ze zdziczałem wejrzeniem.

Jędrek na kolanach i łokciach żwawo podjechał do niego.

— Stach! — mówił radośnie. — Przecież choć jeden prawdziwy swój. Aż mi wedle serca coś odtajało. Jakbym rodzonego ojca obaczył, jakby mi kawał własnego nieba do wnętrza włożył. No i jakżeś tu i cóżeś?

— Ha no, jak widzisz, jak widzisz!

Jędrek przyglądał się jego wynędzniałej postaci ciekawie i jednocześnie ze współczuciem.

— Coś nie bardzo wyglądasz. Czy może chorość jaka?

— Poczekaj trochę, będziesz jeszcze i ty taki. Jak nie dośpisz z tydzień, a nie dojesz ze dwa, to ty taki będziesz.

— A w tym niby... ogniu? bywałeś już?

— Hm — mruknął, ni to się uśmiechnął i spojrzał na niego tak, jakby się znajdował nie tuż obok niego, ale gdzieś daleko za górami.

Wogóle nie zdradzał ani serdeczności, ni uciechy, ani nawet chęci do pogawędki. Widocznie tego, co już zdążył przejść na wojaczce, było na niego za dużo, już zdołał dojść do zupełnej na wszystko obojętności. Śmierć to śmierć, życie to życie!

Jędrek osowiał i zadumał się.

Oto zdarzył się jeden człowiek swój, taki naprawdę swój, co to tem samem powietrzem pierś swą wykarmił, którego te same dzwony kościelne do Boga wzywały, i masz! ani się dopukać do niego. Jak przez wysoką ścianę.

Smutno mu się zrobiło i tęskno, tak tęskno na sercu, sam nie wiedział dlaczego, że choć siadaj i płacz.

Tymczasem owe niepokojące manewry nieprzyjacielskie znów się rozpoczęły.

Gdzieś daleko, daleko za wzgórzem zaczęły porykiwać grubym basem niewidzialne działa, niekiedy górą rozlegał się cienki, lotny świergot, jakby przelatującego skowronka.

Dla stwierdzenia pozycyj nieprzyjacielskich odkomenderowano rekonesans, składający się z porucznika i kilku żołnierzy, między nimi także Jędrka, jako świeżego, z niewyczerpanemi jeszcze siłami.

Przeważnie chyłkiem, niekiedy czołgając się na brzuchach, odsadzili się na parę kilometrów, wdrapali się na śpiczasty, dominujący nad okolicą, a jakby umyślnie usypany kopiec. Nic — grzmot dział wydawał się równie odległym.

Z tem powrócili.

— Znana taktyka tych psubratów! — mówił kapitan. — Tutaj robią hałas, ażeby tymczasem urwać coś gdzieś o kilka mil.

I zaraz skomenderował.

— Folga! Na godzinę.

Jędrek natychmiast cisnął o ziemię tornister i sam rozciągnął się jak długi.

— Ech, tak by się z pół godzinki przedrzemać! — ziewnął.

— Aha, będziesz drzemał, zaraz! — mruknął Stach. — Lepiej sobie popraw co koło siebie, nie wiadomo, kiedy znów nadarzy się chwila. Mnie to się pierwszy raz przytrafia, od ile? od tygodnia blizko.

Sam zerwał z siebie szybko mundur, potem koszulę i narzuciwszy znów mundur na chude ramiona, siadł pod kamieniem i starannie a z uwagą zaczął wyłuskiwać z koszuli owady.

Jędrek z przerażeniem słuchał nieustannego trzasku jego paznokci, z przerażeniem spoglądał na żebra, wysterkujące jak pręty w połamanym koszu. Ciało do szyi było względnie białe. Od połowy szyi, aż znowu do połowy czoła, jak nożem odciął, ciemnobronzowe.

Stach na moment oderwał się od swej roboty i mimowoli roześmiał się...

— Co, bratku, zastrachałeś się? Czekaj, i tobie będzie tak samo. I czem tylko to psiarstwo żyje! Same przecie gnaty zostały, a jeszcze żre.

Trzepnął koszulą kilka razy w powietrzu, potem zanurzył ją w pierwszej bajurze, których moc została po deszczu, zakręcił silnie. Istna smoła pociekła. Potem drugi raz, trzeci.

Cała ta operacya trwała dziesięć minut.

— No — rzekł wreszcie. — Teraz choćby na śmierć.

— A wysuszyć! Jakże tak!

— E, a bo to deszcz nie zmoczył tak samo? I tak wyschnie.

Tymczasem daleko było jeszcze do końca przeznaczonej na wypoczynek godziny, gdy w działaniach nieprzyjacielskich zaczęło się coś widocznie zmieniać.

Pociski bzykały teraz znacznie gęściej i niżej, niektóre zawadzały o grzbiet przełęczy.

— Baczność! — rozległa się komenda. — Na ziemię!

Jędrkowi serce załomotało w piersiach, jak oderwane.

Ucapił mocno karabin, wytrzestrzył oczy.

...Gdzieś, jakby z pod ziemi wyskakuje nagle malutki dymek... Potem malutki, czarny punkcik, mknie sznureczkiem, jak pszczoła, rośnie... zdaje się, że prosto w oko wpadnie... I wreszcie bums! — i tuż pod bokiem wywala się z trzaskiem trzymetrowa jama!

Jędrek przezornie słaniał głowę na prawo i lewo.

— Boisz się, Jędrek? — zapytał szeptem Stach, patrząc na niego z uśmiechem.

— Co mam nie bać! — odparł naiwnie.

— Poczekaj trochę, i do tego przywykniesz!

Westchnął, pomyślawszy sobie, że wolałby jednak, aby wogóle nie potrzebował przywykać.

A kule warczały coraz groźniej, coraz bliżej.

Jeden żołnierz z wyprutemi bebechami stoczył się już na dno wąwozu. (C. d. n.)

Kącik humorystyczny.

W najnowszym numerze wesołej gazetki *Cepy* Jantek z Bugaja śpiewa sobie „polkę hop-sasa!“ o „Bartku z czerwonym nosem.“ Ta polka brzmi tak:

Jedna kreska dwie kreski,
Niekce Bartek Jagnieski,
Honorowo Jagnieska,
Niekce mu dać ni pyska.

Hejże ino hopajpa!
Nima tez to jak knajpa,
Piwo, wódka, „arbata“
I kumoska Jagata.

Hejze ino hopsasa,
Po przepitku kiełbasa
Tusto spyrka „salcason"
Gotowane jajka som.

Dana ino oj, dana!
Cało na mnie parada:
Portki, kabot dziurawe
I bucięta koślawe.

Hejze ino to mi graj!
Zydzie parchu „śnapsa" daj,
Dawaj żydzie na krydę
Bo ja piję na biedę.

Hejze ino hop-sasa!
Ktora piekno — to nasa,
Ktoro brzyćko do lasa
Chupaj-dyna, hop-sasa!

Chojze ino rach, ćiach ciach,
Opiłem się jaze strach,
Opiłem się jak prosię
Jaz cerwono na nosie.

Hojze ino co mi to:
Cego płaces kobito
Pojeś chłopie tańcować
Musi bieda sfolgować!

Bieda moze pocekać,
A muzyka musi grać,
Zagrajom nam hop-sasa
Bo Jagnieska jest nasa.

Zydzie dawojze piwo
Kiej Bartek palcem kiwo,
Kiej Jagnieska się ciesy
To i Bartek weselsy.

Zydzie daj jesce „śnopsa"
Lo Bartka cyrwonosa,
Tak mie we wsi wołajom,
Bo wszyścy Bartka znajom.

Ceny zboża i bydła.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 3 września 1907).

Przy słabem zaofiarowaniu i dobrej chęci kupna odbył się dzisiejszy nasz targ w usposobieniu mocnem i ceny pozostały niezmienione. Pszenica i żyto do siewu poszukiwane po cenach wyżej notowania.

Sprzedawano: pszenicę białą od 11·30—11·70 kor., czerwoną od 11·20—11·60 kor., żyto 9·90—10·30 kor., jęczmień 8·00—8·20, owies 7·60—8·00, groch zwykły 10·50—12·00, groch Victoria 12·00—14·50 (do siewu), na paszę 00·00—00·00, wyka nowa 7·00—8·00, bobik 8·50—8·75, kukurudza stara 00·00—00·00 kor., nowa 7·60—8·00 kor., Cinquantino 8·20—8·40 kor., otręby pszenne 6·75—7·00, otręby żytnie 7·10—7·30, rzepak 17·00—17·50, koniczyna nasienna czerw. 00·00—00·00 biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00. Wszystko za 50 klg.

Z miejskiej centralnej targowicy na bydło w Krakowie. Dnia 3 września br. spędzono na targ sztuk: bydła rosłego 149, jałownika 40, cieląt 243, owiec i kóz 4, nierogacizny 341. — Razem 777 sztuk. Woły z paszy płacono 246—320 koron za sztukę, woły opasowe od 000·00—000·00, krowy od 000·00 do 000·00, buhaje 000·00. Jałówki po 000·00—000·00, cielęta po 000·00 kor. za 1 cetnar metr. żywej wagi, cielęta na sztuki po 24—70 kor. nierogaciznę tuczną 000—000 koron za jeden centnar metr. żywej wagi, nierogaciznę tuczną po 132—158 kor. za 1 centn. metr. rzeźnej wagi, owce sztuka 24—33 kor. — Sprzedano dla miejscowej konsumcyi: bydła rogatego, cieląt i nierogacizny 640 sztuk. — Na eksport bydła rogatego 15 sztuk, nierogacizny — sztuk. Pozostało do drugiego targu — sztuk. Ceny powyższe obliczono bez opłaty akcyzowej.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.

Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie.